

kuć starego Lubasza, skinął ręką i wszedł do szynkowni.

— Baczność! — krzyknął — przygotujcie się na ciężką walkę! Zły duch tego domu już nadchodzi!...

W drzwiach komórki ukazał się Iwan. Po ucieczce Włodzimierza w trunku wciąż szukał zapomnienia i teraz, upiwszy się, poszedł spać do swej nory. Dobijanie się Włodzimierza nie przebudziło go wcale. Dopiero dziki krzyk kutego w kajdany Lubasza, zwrócił jego uwagę. Otworzył oczy, ocknął się, nateżył słuch i od razu zrozumiał, co się dzieje. Jak leżał napół ubrany, tak zerwał się z pościeli i wybiegł z komórki, postanawiając drogo sprzedać swą wolność, walczyć — aż do upadłego.

Straszny był. Ubrany tylko w spodnie, przepasane zwykłym konopnym powrozem i w koszulę, roztwartą szeroko na piersiach, z wzburzonymi włosami i szeroko rozwartymi oczami, z których przebijała szalona rozpacz, stał chwilę w drzwiach, wykrzywiając do uśmiechu usta i pokazując potężne, jak u wilka, zębiska.

— Poddaj się! w imieniu prawa wzywam cię, abys się poddał!... — krzyknął groźnie Włodzimierz.

Iwan spojrzał nań i teraz poznał dopiero, kogo ma przed sobą.

— Pomógł ci czort — mruknął chmurnie — mnie skrewił tamtej nocy... Gdzie jest stary Lubasz?...

— Tam leży, skutą już w kajdany! Poddaj się morderco!...

— Łotry! chcą nas uwięzić i powiesić potem na szubienicy! — zaskowyczał stary Wasyl. — Ratuj mnie Iwanie! ratuj mnie i siebie...

Tymczasem obaj żandarmi zbliżali się już do Iwana.

— Nie tak to łatwo ze mną pójdzie! — ryknął wściekle zbrodniarz — Iwan umie się bronić!...

Rewolwer błysnął w dłoni parobka, a z piersi Wiery wydarł się okrzyk trwogi i rozpacz. Dziewczę, usłyszawszy głos Iwana, odjęło ręce od oczu i przestało płakać. W sercu jej zawrzała straszna walka. Tam skutą leżał jej ojciec, którego tak bądź co bądź kochała. Należało go ratować! To był jej obowiązek, jako córki! A tu Iwan wymierzył rewolwer w pierś Włodzimierza... Cóż miała czynić?

Miłość zwyciężyła przywiązanie dziecka.

Z krzykiem rozpacz zerwała się z ławy i własnym ciałem zasłoniła Włodzimierza.

— Mnie zabij, a jemu nic nie rób!...

Młody detektyw ujął dziewczę za ręce i chciał je usunąć. Był pewny, że z dwoma żandarmami da Iwanowi radę; zaś parobczak, zobaczywszy tę scenę, zaśmiał się szatańsko i cofnął wstecz.

— To tak rzeczy stoją panienko! Więc to umówiona historia! No, czekaj! Ściele się nam droga do piekła, ale ty pierwsza jej spróbujesz!...

Żandarmi wyciągnęli już ręce, aby pochwycić zbrodniarza, gdy rozległ się huk dwóch wystrzałów. Jedna kula świsnęła Włodzimierzowi tuż koło ucha, druga trafiła Wierę. Dziewczę bez krzyku usunęło się na ziemię.

I znów huknął strzał. Iwan chciał zdruzgotać czaszkę jednemu z żandarmów, lecz uniesiony wściekłością chybił. W tej chwili drugi żandarm tak silnie uderzył kolbą parobka w rękę, że rewolwer wypadł mu z dłoni. Ale Iwan nie stracił przytomności. Zanim żandarmi zdążyli doń przypaść, skoczył naprzód, jednego z nich potrafił tak silnie, że ten padł na podłogę, poczem z szalonym śmiechem wybiegł z szynkowni, zatraskując za sobą drzwi.

Żandarmi od razu puścili się za nim w pogoń, ale nim wpadli do sieni, zbrodniarz był już na polu. Wypadli za nim; na polance nie było już nikogo!

— Ucieknie, jeśli go nasi nie zatrzymają! — krzyknął jeden z żandarmów — ten łotr musi znać las, jak własną kieszeń!

— Naprzód! — odpowiedział drugi i dobywszy świstawki, dał długi, przeciągły sygnał — naprzód! Bohdan da tam sobie bez nas radę. My musimy dostać tego zbrodniarza, lub przynajmniej trupa jego, bo zabity pies już nie kasa!...

I obaj żandarmi biegiem puścili się w stronę lasu.

Tymczasem Włodzimierz pochylił się nad omdlałą Wierą, jak dziecko wziął ją na ręce i ułożył na własnym łóżku, które rozścielił na ławie. A stary Lubasz, porzucony w kącie szynkowni, dźwignął się do połowy i przypatrywał bacznie, co robi młody detektyw z jego dziećciem; starzec nie wiedział, czy Wiera już nie żyje, czy tylko jest

zraniona, ale czuł dobrze, jak ciężko wobec niej zgrzeszył i lzy zaczęły mu spływać po zwiędłych policzkach.

Włodzimierz pochylił się nad ukochaną. Czy Iwan mógł tryumfować, czy istotnie zdołał zabić niewinną dziewczynę? To pytanie wirowało mu w głowie, gdy, rozpiawszy kubraczek Wiery, drżącymi rękami szukał rany.

W jednym miejscu z szyi dziewczęcia sączył się mały strumyczek krwi. Włodzimierz znał się nieco na opatrunkach. Szybko więc zerwał chustkę z własnej szyi i zaczął przedewszystkiem tamować krew, płynącą z rany. Następnie skoczył do szynkowni, gdzie stała konewka z wodą i zabrał się do przemywania zranionego miejsca.

Po chwili westchnienie ulgi wydarło mu się z piersi. Zobaczył, że cała rana ograniczała się do lekkiego draśnięcia. Kula musnęła tylko szyję Wiery i pewnie utkwiała gdzieś w ścianie. Przestach spowodował pewnie omdlenie dziewczęcia. Młody detektyw zgrabnie zabandażował ranę i powstał z ziemi. Wolał, żeby Wiera sama przyszła do siebie i żeby mógł uniknąć wszelkich tłumaczeń.



Z krzykiem rozpacz zerwała się z ławy i własnym ciałem zasłoniła Włodzimierza.

Wzrok jego padł na skutego Wasyla i przypomniał sobie Iwana.

Czy zbrodniarzowi udało się uciec? Zapewne, skoro dotychczas nie pokazał się jeszcze żaden z żandarmów. Może go jednak gonią jeszcze po lesie, ale czy go dopędzą, czy go odnajdą w tej zamieci?...

— Muszę pospieszyć im z pomocą! — szepnął Włodzimierz i nacisnąwszy czapkę na uszy, chciał już opuścić szynkownię, gdy tuż koło gospody rozległ się strzał. Włodzimierz zatrzymał się w pół drogi i słuchał uważnie.

— Mają go już w łapce! — pomyślał.

W tej chwili huknął drugi strzał, a potem trzeci i znów nastała cisza. Włodzimierz wybiegł przed gospodę i tu postanowił czekać na żandarmów. Po chwili dostrzegł jakiś cień, zbliżający się szybko ku niemu.

— Kto to? — krzyknął donośnym głosem.

— Ja! — odpowiedział mu znajomy głos żandarma — zbrodniarz jest już nieszkodliwy! Czy nie trzeba wam mojej pomocy?...

— Nie! chodźcie do gospody — odpowiedział Włodzimierz.

Weszli do szynkowni. Wiera leżała jeszcze bez czucia na ławce.

— Umarła?... — spytał poważnie żandarm, zdejmując czapkę z głowy.

— Nie, dzięki Bogu! Lekka rana, która się do tygodnia zagoi, a omdlenie przyszło prawdopodobnie z przestachu. Ale co tam się stało w lesie?...

— Łotr wpadł wprost na nasze posterunki, ale połapał się zaraz i skreślił w bok! Mielśmy więc polowanie z nagonką. Wzięliśmy go w cztery ognie i powoli zaczęliśmy zaciskać pierścień. Gdy zobaczył, że już nam nie ujdzie, wskoczył na wzgórek i krzyknął: „Pierwszemu, który do mnie się zbliży, wbiję ten nóż w serce!“ My jednak równo postępowaliśmy dalej. Łotr poznał, że jest mu coraz ciśniej i z dzikiem przekleństwem rzucił się w bok, właśnie tam, gdzie stał nasz Dymitr. Padł strzał. Czy kula trafiła, tego nie wiem, lecz zbrodniarz zwrócił się w inną stronę. Śnieg padał coraz gęściej, to też baliśmy się, żeby łotr nam nie umknął, więc, gdy tylko zamajaczyła nam jego sylwetka, daliśmy dwa strzały, a on bez jęku padł na ziemię. Powoli, bardzo ostrożnie, zbliżyliśmy się do niego. Przypuszczaliśmy, że się tylko przyczaił i że jeszcze któryś z nas może otrzymać z rąk jego krwawą pamiątkę. Ale, gdyśmy stanęli nad nim, już nie żył! Ja pospieszyłem tutaj, a oni niosą tam jego zwłoki.

— A więc zabity! — szepnął Włodzimierz — choć jemu pierwszemu należała się szubienica!...

Stary Lubasz słyszał dokładnie każde słowo żandarma, a i strzały w lesie obły się o jego n-szy. Co one znaczyły, wiedział dobrze. Iwan został jak dziki zwierz zastrzelony. On tylko sam został przy życiu, on sam będzie musiał ponieść straszną karę! Dreszcz wstrząsnął nim, gdy Włodzimierz zbliżył się w jego stronę.

— O czym ty dumasz teraz, Wasylu Lubasz? — zapytał z powagą detektyw.

Starzec spojrzał w ką, gdzie leżała Wiera i jęknął rozpaczliwie:

— Weźcie mnie stąd! zabierzcie mnie stąd! róbcie ze mną, co chcecie, tylko niech się nie patrzę na moje dziecko.

Włodzimierz zwrócił się do żandarma.

— Zapal-no Szasza latarkę! I tak przed świtem nie opuścimy gospody, więc trzeba naszego więźnia ukryć gdzieś bezpiecznie.

Żandarm zapalił latarkę i spojrzał pytająco na detektywa.

— No, Szasza! — rzekł Włodzimierz, ujmując starego Lubasza pod rękę — pomóż mi dźwignąć starego! Umieścimy go na noc w piwnicy.

I obaj podnieśli Wasyla, ale pokazało się, że skuto go tak silnie, iż jednego kroku sam zrobić nie mógł.

— Popuść mu, Szasza, łańcucha! On przecież teraz spokojny!

Istotnie stary Lubasz opadł zupełnie z sił i zachowywał się całkiem spokojnie. Chwilowy szal rozpacz przeminał i zbrodniarz, zwiesiwszy głowę na piersi, spoglądał dokoła błędnym wzrokiem.

— Gdzie mnie prowadzicie? dokąd ja idę? — wyjąkał z przestachem.

— Powoli! cierpliwości, a zobaczysz! — brzmiała odpowiedź.

Chwycili go silnie pod ramiona i poprowadzili, a raczej powlekli przez schody do piwnicy. Gdy już byli na ciemnym, wąskim korytarzyku, Włodzimierz wskazał dłonią przedział, który był pułapką i zakomenderował:

(Ciąg dalszy nastąpi).